

Wiesław Myśliwski, „Ostatnie rozdanie”

Rozdział pierwszy

Zacząłem naturalnie od litery A. Abramowicz Jan, Arasiewicz Kazimierz, Adamowska Inez, Angerman Dariusz, Ambroziak Jacek, Anuszkiewicz Klemens, Ajducki Mirosław, Arska Paulina, Apelblum Dawid i jeszcze kilku, kilkoro innych, a może i więcej. Tak, tych znam, znałem. Z niektórymi mam czy miałem żywe kontakty, z niektórymi rzadkie, od przypadku do przypadku, niektórzy umarli. Ale wiem, kim są, byli, czym się zajmują, zajmowali, jakie funkcje pełnią, pełnili albo są już na emeryturze, Arska Paulina była nawet kiedyś, krótko, moją kochanką. Wyjechała i nigdy nie dała znaku życia, ale dobrze ją pamiętam, twarz, włosy, oczy, ciało. Niektórych jednak, na których wzrok mój się zatrzymuje, imiona, nazwiska, adresy nic mi nie mówią. Ambrożewski Tadeusz nic mi nie mówi, Acher Waław nic, Adach Bogusław to samo, Arendt Janina, coś mi zaczyna świtać, może sobie przypomnę.

Nieraz gdy ta litera A zmęczy mnie, przechodzę do następnych z nadzieją, że może tam będzie lżej, mimo że już niejedną raz, przy kolejnych próbach, przejrzałem i wszystkie następne. Po czym znów wracam do niej, zawiedziony i tymi następnymi. Wynikałoby z tego, że powinienem być posłuszny porządkowi alfabetu, a więc ustalonej kolejności liter, bo być może to jedyne porządki, który jest w mocy doprowadzić mnie do celu, jaki sobie wyznaczyłem. Drugi taki porządek to kolejność liczb: jeden, dwa, trzy, cztery i tak dalej. Zastanawiam się nawet, czy to nie jedyne porządki, którym można jeszcze zaufać. Zwłaszcza jeśli chce się wierzyć w sprawczą rolę porządku. A chciałbym. Na tym zresztą oparłem przekonanie co do powodzenia mojego zamiaru. Bo przecież gdy się dobrze zastanowić, zdumienie człowieka ogarnia, dwadzieścia kilka liter, w innych alfabetach mniej czy więcej, nie ma to znaczenia, a cały świat, jaki był, jaki jest, jaki będzie.

Przyświeca mi również za każdą podejmowaną próbą i taka nadzieja, że jeśli uda mi się przebrnąć przez tę pierwszą literę, znajdę sposób i na następne i będzie mniej nachodziło mnie wątpliwości, kogo zostawić, a kogo wyrzucić. Tej nadziei nie pozbawia mnie nawet to, że już sama litera A jakby dawała mi do zrozumienia, że porządek alfabetu jest umowny, kolejność liter w nim przypadkowa, jednej z drugą nic nie wiąże, tak że można by je dowolnie poprzestawiać, a nic by się nie zmieniło. Mógłbym zacząć od ostatniej czy od którejś ze środka lub bliższej początkowi czy końcowi, a niektóre nawet sobie darować, bo kto wie, czy w ogóle nie za dużo tych liter jak na jedno jakieś tam życie. No, tak, tylko jak inaczej

uporządkować pamięć, której nie mogę przecież ufać, znając jej naturę. Jedyne ktoś, kto darzy się miłością własną, mógłby powierzać pamięci swoje życie. A nic innego nie mam, co by nią pokierowało prócz tego notesu.

Wprawdzie mam jeszcze listy Marii, sporo ich się zebrało przez te wszystkie lata, lecz czyby wystarczyły, żeby ogarnąć to moje życie? Niewykluczone, jeśliby się uznało, że znaczenie ma jedynie to, co najważniejsze. Tylko czy jakiegokolwiek życie da się zmieścić w tym, co najważniejsze? I nie sądzę, aby do życia można zastosować hierarchię: najważniejsze, ważne, mniej ważne lub całkiem nieważne. To tak, jakby chcieć ustalić hierarchię ludzkich kalectw. Posłyszałem kiedyś taką rozmowę w pociągu, co by pan wolał, nie widzieć czy nie mówić. Okrutne i bez sensu. Ale w pociągu można usłyszeć najbardziej bezsensowne rozmowy. Zwłaszcza gdy się jazda dłuży, a zawsze się dłuży.

Ogarnąć życie. Znowu nachodzą mnie wątpliwości, czy to w ogóle możliwe, czy ten zbiór przypadków, w którym mało co ma z sobą związek, jak te wszystkie imiona, nazwiska, adresy, telefony w moim notesie, jest skłonny poddać się naszej woli. Mimo to próbuję, ponieważ jednego jestem pewny, że to za mało tylko żyć. Bo to nie to samo żyć, a wiedzieć o tym. Nie dam głowy, na ile i ten mój notes jest wiarygodny. Ale w nim jest prawie wszystko, czego mógłbym się o swoim życiu dowiedzieć. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Przyznaję, o wiele skromniejszy przyświecał mi zamiar, gdy postanowiłem zrobić z nim porządek. Niestety, tak często bywa z zamiarami, że rozrastają się wbrew nam, wzbierają ponad oczekiwania, a niekiedy zbaczają z wyznaczonego im kierunku. Cóż to za notes, ktoś może zapytać. Zwyczajny. Z imionami, nazwiskami, adresami, telefonami lub bez telefonów. Każdy ma lub miał taki notes. Jeśli nie miał, może to uznać za szczęście, bo nie doświadczy i udręk. Ten mój w dodatku to szczególny okaz. Napęczniały do granic możliwości, w związku z tym opasany gumą, ponieważ nieraz mi się już rozleciał. Do tego nafaszerowany wizytówkami, tak że trzeba go mocno trzymać, gdy się tę gumę z niego zdejmuje. Łączy się to zawsze z niepewnością, czy się znowu nie rozleci. Byłby dużo chudszy, gdyby nie te wizytówki, na dobrą sprawę mógłbym je usunąć, tym bardziej że i tak każda jest przepisana pod tą czy inną literą. Niestety, nie mogę pozbyć się przyzwyczajenia, że nie wiadomo, co się może przydać, toteż trzymam je w notesie. Nie wiem, skąd to przyzwyczajenie, jako że na ogół z trudem mi przychodzi do czegokolwiek się przyzwyczaić, w tym i do samego siebie.

Mówię, oczywiście, z przesadą, lecz zdejmowanie gumy z tego notesu to jakby rozładowywanie miny. Wymaga ostrożności, a także sposobu, aby nie wybuchł w rękach i nie rozleciał się aż poza biurko, na podłogę, bo i tak się zdarzało. Kiedyś tu nawet rozłożyłem koc na podłodze i na leżąco zdejmowałem tę gumę, zabezpieczając swoim ciałem ewentualny

wybuch. Przypomniało mi się w związku z tym zdarzenie z czasów wojny, o którym ktoś mi opowiadał. Biegli żołnierze ścieżką przez pola i nagle pierwszy dostrzegł tuż przed sobą przyprószoną ziemią minę. Padł ciałem, dając się rozerwać, aby następnych uratować. Zacząłem się sam z siebie śmiać, bo przecież nie pamiętałem wojny. Stary koń, a śmiałem się tak jak chyba jedynie w dzieciństwie.

Bywało jednak, że i sam z siebie wybuchał, jako że najmocniejsza nawet guma traci z czasem sprężystość, parcieje, aż nadchodzi taki moment, że nie wytrzymuje już ciśnienia, kto wie, czy nie również tych wszystkich zapisanych imion, nazwisk, adresów, telefonów, a nie tylko samych kartek, wizytówek, i to mimo że od dłuższego czasu nikogo w nim nie zapisuję, gdyż pod żadną literą nie ma już choćby skrawka miejsca. Muszę natomiast nierzadko do niego zaglądać, a to uciążliwe, tym bardziej że za każdym razem towarzyszy mi obawa, czy się znów nie rozleci.

Uciążliwość to tym większa, że ilekroć szukam jakiegoś nazwiska, adresu, telefonu, często przedzieram się przez wszystkie nazwiska, adresy, telefony, od początku do końca, w tym wszystkie wizytówki, jako że gdy mi się rozsypie, nie mam cierpliwości układać tego z powrotem według alfabetu, jak by należało. Tak że wiele kartek wizytówek znajduje się nie na swoich miejscach. A nie powiedziałem może rzeczy najważniejszej, że z braku miejsca pod tą czy inną literą, właściwą dla danego nazwiska, zapisywałem je pod inną, gdzie dało się jeszcze wcisnąć.

Nic na to nie poradzę, że nie ma równowagi między literami, od których zaczynają się nazwiska. Nieraz mnie zastanawiało, skąd się bierze, na przykład, przewaga litery K nad literą E? Albo w czym litera M jest lepsza od litery O? Czyżby już w pierwszych literach naszych nazwisk kryła się jakaś zapowiedź? Tylko czego? No, właśnie czego? Przecież nie nazwiska popychają nasze życie. Chociaż komuś może tak się wydawać, nie wykluczam. Mógłbym nawet być przedmiotem czyjegoś żartu, że widocznie chciałem przyjść z pomocą tym skrzywdzonym literom, skoro tak nad nimi ubolewam. Dopóki jednak było to możliwe, starałem się być wierny porządkowi alfabetu, upychając nieraz na siłę czyjeś imię, nazwisko, adres, telefon nad, pod, między czy na marginesie maczkiem, aby nie pozbawiać żadnej litery jej należności. Tylko że teraz nierzadko muszę je odczytywać przez szkło powiększające.

Dawno więc powinienem zrobić porządek z tym notesem. Wiem. Pochłonięty jednakże interesami, nigdy nie miałem na to dość czasu, nie mam go i teraz. Wracam zwykle późno wieczorami z pracy, że nieraz nie chce mi się rozebrać, umyć, tylko jak siądę w fotelu, tak siedzę nawet do północy, a żeby chociaż z tego zmęczenia sen mnie chciał zmorzyć. Do tego

dochodzą częste wyjazdy, nie mówiąc już o rozlicznych spotkaniach, których wymagają interesy.

Czy jednak brak czasu mnie tłumaczy? Przecież mógłbym przynajmniej w jedną, drugą wolną niedzielę czy w jakieś święta. Jest tych świąt niemało, a niedziel jeszcze więcej. Czy raczej boję się swojej bezradności, której doznaję, gdy zaczynam się zastanawiać nad tym lub innym nazwiskiem, zostawić, wyrzucić. Zwłaszcza że te, które nic mi nie mówią lub należą do umarłych, bardziej pobudzają wyobraźnię i dotkliwiej dręczą pamięć, niż te, które od razu mówią, kto jest kto lub był.

A skoro jestem przy tej literze A. Andruch S. Stefan, Szymon, Stanisław? Gdybym przynajmniej wiedział, jak brzmiało jego imię, może by się ktoś wyłonił. Czyżbym aż tak był pewny jego trwałości w mojej pamięci? I dla jakichż to szczególnych względów czy może wyjątkowego zdarzenia, które nas z sobą zetknęło? Powinienem go więc tym bardziej pamiętać. Bo dlaczego poprzestałem na tej pierwszej literze jego imienia?

W zapisywaniu imion, nazwisk, adresów, telefonów starałem się być skrupulatny i jeśli miałem najmniejszą wątpliwość lub nie byłem pewny, czy dobrze usłyszałem, prosiłem o powtórzenie. Nie było to zbyt uprzejme, lecz wolałem pewność niż uprzejmość. Z najdrobniejszego przecież błędu mogą wynikać nieporozumienia o trudnych do przewidzenia skutkach. Za przekręcenie nazwiska czy zamianę imienia ktoś może nie zechcieć podtrzymywania dalszych kontaktów. A źle zapisany adres nawet spowodować, że zawartą znajomość, choćbyśmy przypadli sobie do serca, musimy spisać na straty.

Niestety, takich nazwisk, które nic mi nie mówią, jest wiele w tym moim notesie. A chociaż przy każdym próbuję co nieco głębiej poszperać w pamięci, żadne z nich do nikogo mnie nie doprowadziło. Każde z nich jakby zakłęto się w milczeniu, że stanowią już byty same w sobie, wyzwolone z czyjejkolwiek własności. Nasuwa mi się myśl, czy może tyle tylko zostaje po człowieku, a to i tak niemało w tym bezimiennym świecie, gdy ktoś zapisał jego imię, nazwisko, adres, telefon lub włożył między kartki w swoim notesie jego wizytówkę, chociażby nie towarzyszyła temu żadna pamięć.

Adamczak Remigiusz. Któż to mógł być? Powtarzałem kilka razy w myślach, Adamczak, Adamczak, jakbym go wywoływał z innego świata. I nic. Pustka. Nie zjawił się. A nie na początku go zapisałem, więc nie mogło to być tak bardzo dawno, żeby zdążył utonąć w mojej pamięci. Przyszedł mi jedynie do głowy właściciel sklepu wędliniarskiego, u którego kupowałem, znakomite zresztą, wędliny wyrabiane według starych, wiejskich receptur, bez ulepszczy i konserwantów, normalnie wędzone czy, jak kaszanka, pieczone, jeśli ktoś lubi kaszanke.

Byłem jednym z pierwszych jego klientów. Mieszkałem wtedy niedaleko. I gdy wyszedłem pewnego dnia na spacer z psem, a ujrzałem szyld: Remigiusz Adamczak, wędliny własnego wyrobu, wstąpiłem. Odtąd, a było to kilkanaście lat temu, nawet gdy się wyprowadziłem z tamtego mieszkania, przyjeżdżałem po wędliny do niego, tak że mógłbym powiedzieć, zaprzyjaźniliśmy się. Po co więc miałbym zapisywać jego imię, nazwisko, adres, skoro wiedziałem, gdzie jego sklep.

Albo Ablewski Wojciech, któż on? Czyżby to ten jeszcze z liceum? Coś mi się zaczęło przypominać. Chyba, siedział w ostatniej ławce, w środkowym rzędzie, często kryjąc się za plecami siedzących przed nim. A ponieważ siedzieliśmy po czterech w jednej ławce, wystarczyło, że przykulił głowę, gdy chciał być nieobecny. Raz matematyk, przygłuchy trochę, wodząc palcem, jak miał w zwyczaju, po nazwiskach, w dzienniku, wywołał go do tablicy, a ten krzyknął na całą klasę: nieobecny! Matematyk wywołał więc kogo innego, a on już do końca lekcji nie uniośł głowy znad ławki. Świetnie malował, innych przedmiotów nie znosił.

Od matury nie spotkaliśmy się już nigdy, jak z wieloma innymi, ani też słuch mnie żaden nigdy o nim nie doszedł, jak o wielu innych. No, i nie miałem jeszcze wtedy tego notesu. Zresztą nie przyszłoby nikomu do głowy zapisywać adresy, gdy się rozstawaliśmy. Żyliśmy w poczuciu tak bliskiej wspólnoty przez te pięć lat liceum, że klasa wydawała nam się najpewniejszym naszym adresem i na zawsze. Tego poczucia nie podważało nawet to, że rozjechaliśmy się w świat szukać dopiero swoich adresów. Może w przeżywających ostatnio rozkwit zjazdach koleżeńskich, w takie lub inne lecie, właśnie to poczucie daje znać o sobie. Jakkolwiek takie wzajemne odnajdywanie samych siebie z dawnych lat nie gwarantuje nam przecież, że to jesteśmy wciąż my i powinno raczej budzić obawy. Chociaż mogą również świadczyć o narastającym w człowieku zagubieniu w tym coraz ciaśniejszym, coraz bardziej niesprzyjającym naszej osobności świecie.

Nigdy jednak zawiadomienie o jakimś koleżeńskim zjeździe nie dotarło do mnie. Może dlatego że często zmieniałem mieszkania. Nie, nie ze względu na zmieniające się obowiązki czy zajęcia. Czasem kilka miesięcy, a czasem rok, dwa najdłużej, a każde mieszkanie zamiast się ze mną oswajać, zaczynało mnie uwierać jak ciasny kołnierzyk u koszuli, gdy się przybiera na wadze. Tak że bałem się potem zajrzeć do takiego mieszkania, wysyłałem więc kogoś co jakiś czas, aby sprawdził, czy nie ma dla mnie korespondencji, chociaż prócz matki, dopóki żyła, czy Marii któż by do mnie mógł pisać na prywatne adresy?